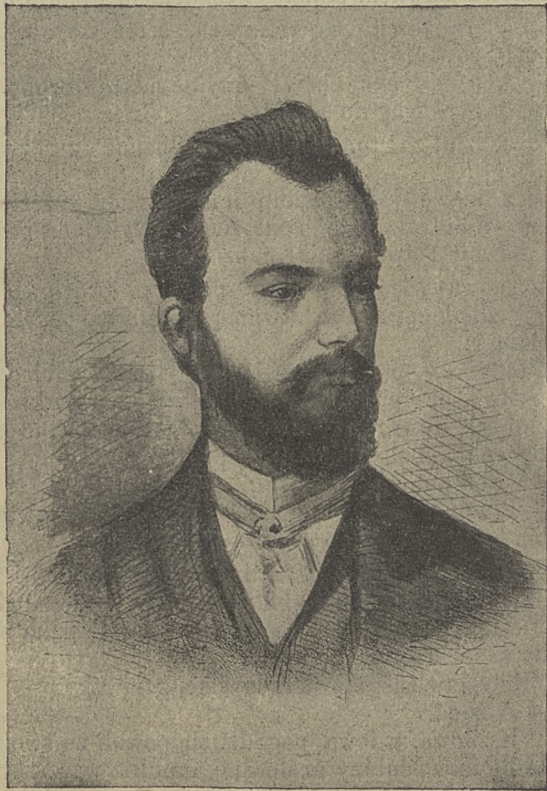


WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Edward Jelinek.

Jeżeli miłą jest sercu naszemu przyjaźń najbliżej nas stojących, jeżeli oceniamy zasługi położone dla ogółu naszego społeczeństwa, zasługi tych wyjątkowych postaci, które talentem lub szlachetnym kierunkiem pracy zdołały się ponad zwykły wynieść poziom — to nie mniejsze uznanie należy się tym, którzy należąc do innej narodowości, żywili dla nas uczucia serdecznej przyjaźni.

A takim właśnie przyjacielem Polaków był ś. p. Edward Jelinek, znany i zasłużony literat czeski, człowiek nauki i niezmordowanej pracy, skierowanej przedewszystkiem ku podniesieniu umysłów ziomek swoich.

To też gdy przedwczesna śmierć jego, pograżyła Cze-

chów w szczerzej żałobie, niemniej serdeczny wywołała żal u nas wśród szerokich kół tych wszystkich, którzy bądź osobście, a takich jest bardzo wielu, bądź tylko z zasłużonego rozgłosu znali i oceniali ś. p. Edwarda Jelinka.

Urodzony w Litomyślu 1854 r. z rodziny mieszczańskiej staroczeskiego pochodzenia, Edward Jelinek od najmłodszych lat ukochał wszystko co słowiańskie. W naukach głównie tym poświęcił się językom, a po ukończeniu studiów uniwersyteckich, pierwszą swą podróż odbył po Słowiańszczyźnie.

Nie żałując trudów i czasu, zwiedził ją całą w szerz i wzdłuż, starał się poznać każdy szczepek z osobna i ocenić wszystkie wybitne strony charakteru. W podróży tej zatrzymał się czas dłuższy w Warszawie i później często tu przyjeżdżał; więc za przyjazne serce jakim nas darzył, wzajemian też serdecznego zawsze doznawał przyjęcia, za co znów odwzajemnić się umiał ilekroć ktokolwiek z Polaków przybył do Pragi.

Dla każdego pobratymca uprzejmy i serdeczny, nikomu nie odmawiał swych usług, kto się doń o wskazanie osobliwości Pragi zwrócił, żądał tylko pochwały dla narodowego rozwoju Czech, co było kwestyą najżywotniejszą dla niego.

Władając doskonale językiem polskim, pisywał Jelinek liczne z kraju swego korespondencye do pism naszych; po każdym zaś powrocie z Warszawy dzielił się z ziomekami swymi wrażeniami o naszym kraju, a ze słów jego wionęła zawsze szczerza dla nas sympatya,

Z licznych dzieł jego, których myślą przewodnią było poznanie Czechów z szeroką słowiańszczyzną, wyliczyć możemy pomiędzy innymi: „Słowiańskie niewiasty”, „Listy o Słowiańszczyźnie”, i „Sylwetki literatów słowiańskich”,

W założonym też przez niego czasopiśmie: „Słowiański zbornik” od 1882—1887 r., przyszły badacz literatury znajdzie wiele cennego materyału. Akademia krakowska w rocznikach swych zamieszczała stale dział bibliografii czesko-polskiej, w którym Jelinek notował wszystko, co w Czechach było o nas drukowane, lub z polskich utworów na język czeski przełożone. Nie rzadko też w wydawnictwach swych pomieszczała prace jego „Biblioteka Cesarska” w Petersburgu.

KRÓLEWICZ

POWIEŚĆ Z XV WIEKU

przez

Z. Morawska.

(Dalszy ciąg).

Obok tych studyów literackich, wymagających często mozolnych poszukiwań, umiał Jelinek uczynić jeszcze zadość obowiązkowi urzędnika biura statystycznego w magistracie pragskim, oraz kustosa muzeum miejskiego, nadto jako należącego do mnóstwa instytucji i stowarzyszeń, zostawał w ciągłych stoukach z całą inteligencją narodowości czeskiej, objężdżał kresy, przemawiał na zebraniach i zaznajamiał się z ludem.

Pogrzeb Jelinka odbył się w Pradze dnia 18 marca wobec zgromadzonych tłumów, w pośród których znalazły się wszystkie wybitniejsze osobistości miejscowe, dygnitarze, literaci, profesorowie, duchowni, artyści i dziennikarze. Członkowie kolonii polskiej w Pradze, byli również wszyscy, członkowie „Ogniska polskiego” z prezesem p. Floryańskim, i członkowie „Klubu polskiego”. Po mszy żałobnej ruszył kondukt przez główne ulice miasta, poprzedzony przez delegację z wieńcami. W pośród tych były wieńce: „Koła polskiego”, „Ogniska” i „Klubu polskiego” w Pradze, od dyrekcji teatru narodowego w Krakowie, od artystów tegoż teatru i teatru lwowskiego, od redakcji „Tygodnika Ilustrowanego”, „Wielkopolanina”, „Wisły”, „Kuryera Warszawskiego” i t. d. Na cmentarzu, po odśpiewaniu „Salve Regina” przemówił po polsku p. Floryański wielbiąc zasługi Jelinka i zapewniając, że imię jego wśród Polaków nie zaginie. Następnie mówił literat Wacław Stech, wyrażając wdzięczność dla zmarłego od Czechów za jego działalność w literaturze polsko-czeskiej.

Jelinek pozostawił testament, w którym wszystkie czeskie książki swej biblioteki, jako też niemieckie „Slavica”, przekazał bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie, polecając utworzenie czeskiego oddziału w księgozbiornie. Duplikaty przekazał bibliotece im. Ossolińskich we Lwowie. Wszystkie inno książki zapisał bibliotece czeskiego muzeum w Pradze, gdzie umieszczone będą w osobnym oddziale. Muzeum odziedzicza także nadzwyczaj bogatą korespondencję, liczącą około 8,000 listów, nieraz bardzo ciekawą ze względu na osoby piszące lub treść, listy te mają być zapieczętowane i mogą być ogłoszone dopiero po śmierci autorów. Rozporządzenia te pośmiertne zakończył Jelinek wyrazami gorącej miłości dla swej czeskiej ojczyzny.

BAJKA.

— Mnie się sosny kłaniają — rzekł pałac wyniosłe,
Spoglądając z wysoka, na las i zarośle,
Wtem wiatr zmienił kierunek, hurze zaszumiały:
— Nam się dęby kłaniają — chaty powiedziały.
Tak silny na słabego, gdy z dumą spogląda,
Niech się raczej rozumnie na przyszłość ogląda,
Bo czy to traf, wypadek, czy wyroki Boże,
Silny jutro zesłabnąć — słaby wzmódz się może,
Bo patrząc na biednego, kto w szczęściu opływa,
Zawsze niech pomni na to, że los zmienny bywa.

Na drobnej, dziecięcej, pociągłej twarzy Władysława zaigrał uśmiech, gdy ujrzał barwne, kapiące od złota i drogich kamieni stroje węgierskich posłów. Nie mógł się wstrzymać i szepnął do kanclerza:

— Będę miał ślicznie ustrojonych poddanych!

Kanclerz jednak zachował zupełną powagę, która nieco stropiła jego królewskiego wychowawcę. Kopaszad tymczasem spojrzawszy na króla, zamiast oddać mu należyne ukłony, zawołał:

— Śliczny dzieciuch, Boga mi, aleć go chyba na rękach nosić będziemy!

— Co on mówi? — zapytał Władysław, któremu węgierska mowa dziwnym jakimś brzmieniem wpadła do ucha.

Kanclerz skinął na tłumacza, a ten ze zwykłą sobie zręcznością powtórzył:

— Ach, gdybyż chciał przyjąć naszą koronę, całemu narodowi przypadłyby do serca!

Powiedział zaś to, co w tej chwili sam rzeczywiście odzubał.

Lecz mowę jego biskup musiał znów przetłumaczyć, albowiem Władysław nie znał łaciny, tylko na pergaminie nazwisko swoje ledwie umiał nakreślić.

Rozmowa więc szła przy pomocy dwóch tłumaczy; niemniej jednak sprawa załatwioną została w sposób zupełnie zadawalający:

Władysław przyjął węgierską koronę. Kiedy zaś posłowie zostali przypuszczeni do ucałowania ręki królewskiej, Kopaszad tak się rozochocił, że zamiast ucałować leżącą na poduszce rękę, pochwylił króla, podniósł do góry, a ucałowawszy w oba policzki, zawołał:

— Panujże nam, chłopaku, panuj, a kochaj tak, jako my ciebie kochać będziemy!

Król śmiał się serdecznie i pocałunkiem oddał za pocałunek. Wielki ochmistrz zrobił minę surową, nie mógł jednak za to przestępstwo etykiety dworskiej skarcić pana posła, bo musiałby skarcić i samego króla.

Władysław zaś, niewiele myśląc, zapytał:

— A żona?

— Królowa wdowa pogodzi się powoli ze swoim losem i przystanie na zaślubiny królowej Anuli z waszą królewską mością — uspokoił go kanclerz.

— To dobrze, róbże, exelencyo tak, żeby te zaślubiny jak najprędzej nastąpiły — rzekł król, zwracając się do kanclerza!

A potem dodał:

— Żona dodaje powagi.

— Będziesz miał i królestwo i żonkę — śmiał się uradowany tem odezwaniam Kopaszad.

Słów jego nie powtórzono już królowi, bo tłumacz zajęty był rozmową, którą kanclerz prowadził z Ujlakimem.

— Tak, tak, sprawa przedewszystkiem — powtarzał sobie tymczasem Kopaszad, oglądając się jednak rychło ino znajmiał ów podkurek.

Ale już ściemniło się zupełnie w komnacie, a o podkurku i mowy nie było; światło maleńkich, w ołów oprawnych szyb wysokich i wgłębionych okien, zastąpiono tu i tam stojącymi niskimi lampami, w których płonący makowy olej zaprawny był jakimś zapachem, bodaj czy nie na Turku zdobytym. Wesoły zaś ogień na wielkim kominie oświetlał resztę komnaty. Kanclerz wciąż prowadził rozmowę z hrabią na Wrtochy

Andor zaś, tłómacząc teraz wszystko dosłownie, rzucał tylko od czasu do czasu spojrzenie za młodym królem, który wkrótce na dany znak przez ochmistrza, znikł za ciężkimi dębowymi drzwami posłuchalnej komnaty.

IX.

Kiedy Elżbieta, uradowana, że syn jej Władysław Pogrobowiec odbył nareszcie koronację, uspokoiła się nieco i myślała tylko, jakby tę władzę ugruntować, nie domyślała się nawet, że dzień wprzód w Albie odbyła się koronacja innego Władysława, i to koronacja prawdziwą koroną św. Stefana.

Czy Gar wiedział o tej koronacji, a nie mogąc przeszkodzić, umyślnie zataił przed królową, czy też doniesiono mu już po spełnionym fakcie, pozostanie to na zawsze tajemnicą. Wiadomem tylko, że Węgry w tej chwili miały dwóch królów, z których jeden nawet o swem królestwie nie wiedział.

Jednego dnia, gdy do komnat króla niemowlęcia wpuszczono dwie jego siostry, ośmioletnia Anula dygnęła przy kołycse i rzekła:

— Witam jego królewską mość! ale i ja wkrótce będę królową, a mój mąż będzie także Władysław.

— I ja będę królową, a mojemu mężowi imię Kazimierz! — rzekła, szepleniąc po dziecinnemu sześcioletnia Elżbieta.

— Ale ja pierwej! — zawołała Anula.

— Ja, ja! — wołała Elżbieta i, nie umiejąc jeszcze dołądnie wypowiedzieć swoich myśli, pochwyliła leżącą na wezgłowie kołycsi małą koronę brata. Dźwignęła ją drobnymi rączkami, z trudnością umieściła na swojej ciemnej główce i z wielką powagą poczęła się po komnacie przechadzać.

Ochmistrzyni królewien, jako też i pani Cirna, a nawet Gierda śmiały się z zabawy swawolnej a przypochlebiającej się każdemu królowy Elżbiety.

Ochmistrzyni nawet poprawiła na jej główce koronę i przytwardziła do wielkich, nad wiek wybujałych, ciemnych warkoczy, potem posadziła ją na wysokim krześle i kłaniając się, mówiła:

— Czy najjaśniejsza pani pozwoli sobie podać wachlarz?

— Daj, daj! — wyciągnęła rączki Elżbieta.

Ochmistrzyni, która nigdy nie rozstawała się z pięknym, ze strusich piór wachlarzem, podała ją królowie, a ta, ująwszy go w obie rączki, usiłowała nim poruszać.

Powaga dziecka i miłe szczebiotanie rozweseliło wszystkich. Na chwilę zapomniano, że czuwa nad nimi groźne oko i despotyczna dłoń królowej wdowy.

Chwila to była nader krótka, bo drzwi się otworzyły, i weszła królowa matka.

— Cóż to, kładziesz koronę brata! — zawołała, brwi marszcząc.

I jak zwykle nie miarkując się w mowie ni czynach, szarpnęła ciemne włosy wystraszonej Elżbiety.

Korona spadła z jej główki i potoczyła się na podłogę, rozplakaną zaś królowę uchwyciła w objęcia ochmistrzyni i uniosła z komnaty. Anula tymczasem, nie wiedząc co zrobić ze sobą, aby uniknąć gniewu matki, skryła się za oponę drzwi, przez które weszła królowa.

Pani Cirna tymczasem zgąwszy swe okrągłe ciało, podniosła walającą się na podłodze koronę i chciała ją na wezgłowie małego króla położyć. Lecz królowa gwałtownym ruchem wyrwała ją przełożonej swego dworu i własnoręcznie umieściła na wezgłowie kołycsi, wołając:

— Synu mój, królu mój, chciano ci skraść koronę!

Rozbudzony król począł płakać w niebogłosy, troskliwa o jego zdrowie Gierda pochwyliła go i nim królowa zdążyła rzec słowo, wyniosła z komnaty.

— Wszyscy, wszyscy przeciwko mnie, ach, ja słaba nie wiasta, nie podołam rządóm, nie podołam nieprzyjaciołóm!

Obejrzała się dokoła, nie było nikogo. Stała na środku komnaty i jakiś dreszcz przebiegł po całym jej ciele. Głowa jej pałała jakimś niezwykłym ogniem, nogi drżały. Wzięła jednak koronę syna, a trzymając ją silnie, jakby w obawie, żeby kto inny tego cacka nie zabrał, usiadła na najbliższej ławie i zamyśliła się głęboko.

— Tak, tak, Gar ukrywa coś przedemną — mówiła sobie, idąc za biegiem myśli. — Tymczasem wydaje rozkazy sam, nie pytając mnie o nic, o nic! Używa imienia Władysława Pogrobowca, bo inaczej uczynić nie może!... Ach! ciężka moja dola! Jestem odsunięta! jestem bez władzy!

I lzy potokiem puściły się po jej rozognionem obliczu.

Z za opony wyjrzała jasna główka małej królowy, nie słysząc nikogo, chciała wymknąć się niepostrzeżenie z komnaty. Wtem ujrzała płaczącą matkę.

Strach, jaki zwykle ją przejmował na widok matki; zniknął teraz zupełnie, gdy zobaczyła ją płaczącą. Przybiegła więc, objęła kolana, a składając głowę na łonie matki, wołała:

— Nie płacz, nie płacz, matko, Anula będzie już grzeczną, nigdy się nie będzie sprzeciwiać braciszкови.

Elżbieta spozjrzała na nią błędnymi oczami, chwilę poddała się pieczętom dziecka, a jakby niemi ogrzana, pocbwyliła główkę w objęcia i poczęła okrywać pocałunkami.

— Tak, tak — wołała, kładąc na jej główkę utrzymaną w rękę koronę — ty będziesz królową, będziesz żoną sąsiadnego króla, który w twojem imieniu będzie nad nami panował.

A chcąc jak najprędzej spełnić myśl nagle powziętą, odsunęła zdziwioną dziewczynkę, wybiegła z komnaty, wydając ku spełnieniu swych myśli stosowne rozkazy.

Anula, usunięta gwałtownie przez matkę, wybiegła w drugą stronę, korona spadła z jej główki, lecz ona nie troszczyła się o nią, cieszyła się tylko pocałunkiem matki i o tej radości oznajmić chciała ochmistrzyni i młodszej swojej siostrzytce.

Wtem nagle w przeciwnej komnacie rozległ się stuk upadającego, ciężkiego ciała i zaraz głośne okrzyki:

— Królowa umiera!

Nie umarła jednak Elżbieta, lecz ciężką niemocą przykuta została do łoża. Obezwładnione ciało nie mogło się poruszać, umysł jednak pozostał przytomny, język nie wypowiedział posłuszeństwa. Wydawała więc ze zwykłą sobie gwałtownością rozkazy, gwałtowniej nawet niż dawniej, bo obezwładnienie ciała chciała sobie biedna królowa wynagrodzić ruchem języka.

Lecz teraz jedna ją tylko myśl zajmowała, myśl połączenia Anuli z Władysławem i oddanie temuż władzę.

Część jej rozkazów bez jej wiedzy została spełniona; Władysław był już od dwóch miesięcy królem węgierskim i coraz więcej zjednywał sobie stronników, szło więc tylko o ślub jego, a raczej zaręczyny z Anulą. Ten rozkaz łatwy był również do spełnienia. Młodziutki król, jako i jego opiekun biskup-kanclerz, nie miał nic przeciwko temu. Owszem, zaręczyny z córką Albrechta były tylko utrwaleniem go na tronie węgierskim.

Na dzień więc oznaczony przybył król Władysław wraz z kanclerzem do Budy. Na zamku poczyniono przygotowania do mającej się odbyć uroczystości.

Anula, oddana w opiekę przybyłej z Krakowa pani Reginie Kmitowej, matronie wielkich cnót i niezwykłej słodczy, przygotowywała się do uroczystości. Dwór przyszłej żony Władysława składał się z dwunastu nieco starszych dziewczek, które przybyły z panią Kmitową i przy zabawie uczyły swojej mowy przyszlą królowę.

W dzień, przeznaczony do zaręczyn, Anula ubrana w błękitną, przetykaną srebrem sukienkę, w otoczeniu ubranych biało dwunastu dziewic oczekiwała na przybycie Władysława.

— Czy ja zaraz pojedę do mego nowego zamku? — pytała ciekawie.

— Ach, żeby jak najprędzej! — odpowiadały jej po kolei młodziutkie damy dworu, a każda westchnęła:

— Ach, jakżebym chciała zobaczyć matkę!
 — Czy tam ładnie? — pytała Anula.
 — Ładnie, tak ładnie, że ładniej nigdzie być nie może!
 — odpowiadały.
 — A król Władysław, mój przyszły mąż, będzie się bawił ze mną?

Damy dworu jeszcze nie zdążyły odpowiedzieć, gdy otworzyły się drzwi i Hollos Hunyad w towarzystwie Ujlakima wszedł do komnaty.

Królowna, obaczywszy go zdala, wyrwała rączkę, którą delikatnie trzymał Hunyad, a zostawiwszy płaszcz w rękę swych panien, podbiegła do młodego króla i podając mu rączkę, zawołała:

— Jam twoja żonka, pocałuj mnie.

Władysław uśmiechnął się na to szczebiotanie dziecka, a chociaż przebiegła mu myśl, że taka mała żonka nie doda mu powagi, uniósł ją w górę i złożył na jej czole pocałunek. W głębi oświecona tysiącem światel widniała kaplica,

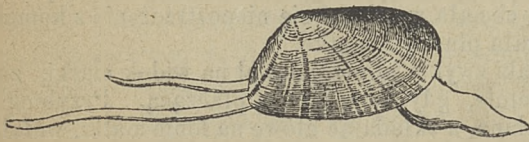


Fig. 10. Śniednik (*Tellina*) ukazujący dwie cewki i potężną nogę.



Fig. 11. Świdrak okrętowiec (*Toredo-navalis*).

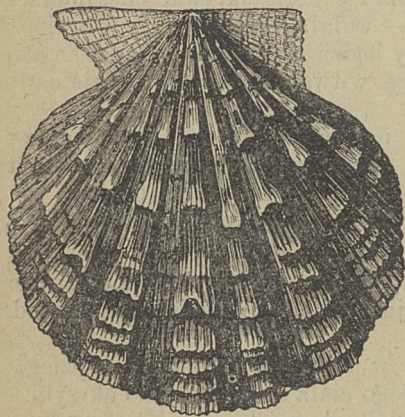


Fig. 12. Przegrzebek (*Pecten*).

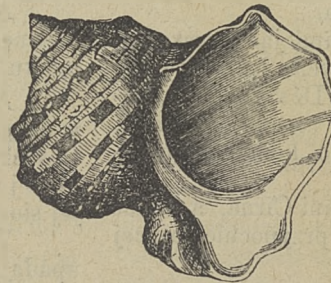


Fig. 13. Skorupa ślimaka morskiego, zwanego zawojem (*Turbo*).

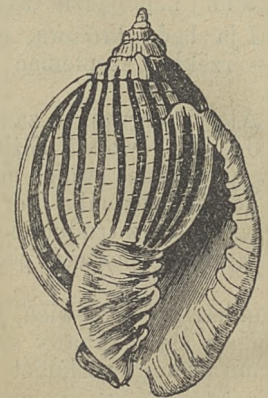


Fig. 14. Skorupa ślimaka w kształcie hełmu prążkowanego.



Fig. 15. Rozkołec (*Murex*); skorupa wydłużona w rynienkę i kolcami najeżona.

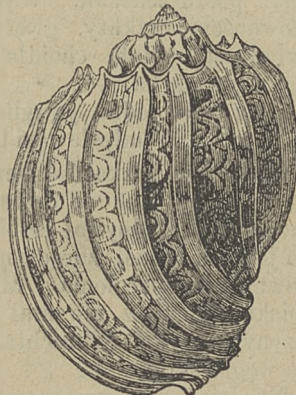


Fig. 16. Wręga (*Harpa*).

gdzie miał się obrządek zaręczyn odbywać. Pierwej jednak narzeczeni przeszli do komnaty królowej, która, przykuta do łoża, nie mogła się na tę uroczystość w komnacie galowej ukazać.

Na widok matki, która surowym wzrokiem na przybyłych spojrzała, Anulka przestała się uśmiechać. W zarzuconym na nowo królewskim płaszczu szła nad wiek poważnie i z tą powagą przy łożu matki obok Władysława stanęła.

— Weź ją i rządz królestwem! — wymówiła królowa.

Potem trzymaną wciąż przy sobie od czasu choroby koronę syna włożyła na głowę Anuli. Nagle ręka ta obezwładniała, Elżbieta gwałtownym ruchem rzuciła się na łożo, chciała się zerwać, rzec coś, lecz krzyknęła tylko niezrozumiale, wyprężyła się i obezwładniona do łoża przyległa.

Anula wystraszona przyłożyła usta do martwej ręki swej rodzicielki, a poza sobą zamiast wyrazów radosnych usłyszała:

— Królowa umarła!

Dzwony, które miały obwieścić światu zaręczyny królewskiej pary, dźwięczały dźwiękiem żałoby, która też dwór cały i niedoszłą małą narzeczoną okryła.

X.

Śmierć królowej wdowy, jakkolwiek przerwała zaręczyny Anuli, przywróciła jednak nieco porządek i uspokoiła wewnętrzne rozruchy.

Gar nie mógł się teraz tłómaczyć, że działa w imieniu królowej; maleńkiego króla i dwie jego siostry, Anulę i Elżbietkę odwieziono na dwór cesarza Fryderyka III-go. Cesarz wy-

Anula spojrzała ciekawie, a potem wskazując barona na Wrtoczy, rzekła:

— Ja nie chcę takiego starego narzeczonego.

Po twarzach obu panów przebiegł uśmiech, a Hollos rzekł, skłoniwszy się przed królową:

— Ja poprowadzę jejmość królowę do narzeczonego.

To mówiąc, ujął jej maleńką rączkę, damy dworu zarzuciły na nią długi płaszcz purpurowy, a trzymając kraj jego, pospieszyły za swoją panią.

W głębi drugiej komnaty stał w otoczeniu panów młodziutki Władysław i niecierpliwie oczekiwał na narzeczoną.

stępował, jako opiekun małoletnich, do czego miał prawo, jako najbliższy krewny ich ojca. W rzeczy zaś samej pragnął tym sposobem zapanować nad Węgrami i Czechami, a przez Czechy nad Słowiańszczyzną. Że zaś Władysław Pogrobowiec był królem czeskim, w imieniu więc króla-niemowlecia miał ochotę w mętne ówczesne sprawy czeskie się wnieść.

Anulka niechętnie opuszczała zamek, kilkakrotnie tupnęła nóżką, wołając:

— Jam tutaj królowa, ja chcę zaślubić króla Władysława, ja będę dobrą i mądrą królową!

Gniew jednak dziewczynki na nic się nie przydał, teraz nie tylko Hollos, ale i Gar pragnęli jak najprędzej usunąć z Węgier królewskie sieroty.

Gar znał niedołężność cesarza, obiecywał więc sobie umysłem jego tak pokierować, aby sam niepodzielnie mógł rządzić w imieniu małoletniego Władysława Pogrobowca.

Hollos Hunyad i całe jego stronnictwo przez usunięcie małoletniego króla mogli już wprowadzić na tron obranego i ukoronowanego sąsiada. Młoda jego, lecz dzielna prawica, potrzebna im była nie tylko w sprawach wewnętrznych, lecz w wojnie z Turkiem, który granice Węgier szarpał niepomierne.

Wśród tych bezprzeszanych napadów Ujlakim zaniedbał wszelkie sprawy wewnętrzne, opatrywał tylko pułki honwędów i wysyłał je pod dowództwem wyćwiczonych mężów, szykując się przytem do wyjścia w pole osobiście, gdy ku temu otrzyma rozkaz królewski.

Zaniedbał też wszelkie sprawy domowe, nie pytał się nawet, co robi jego ukochany wychowawiec.

Zresztą wiedział, że Andor pod doskonałą dostał się opiekę. Biskup Zbigniew, a nawet młodzieńki król tak sobie upodobali młodzieńca, iż tenże na ich żądanie przeniósł się do akademii w Krakowie. Było to dlań z wielką korzyścią, bo akademii w owym czasie znakomitych miała profesorów. Andor zaś chwycił i zgłębiał naukę, aby zdolności swe ofiarować ojczyźnie. I rzeczywiście imię Andora Atillakosa chlubnie jest zapisane na kartach węgierskiego prawnictwa.

(d. n.)

ŻYCIE W OCEANIE.

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Czasami cewki są bardzo długie i daleko zanurzone w morzu, jak np. u *śniednika* (*Tellina*) fig. 10 albo u *świdraka*

okrętowca (*Toredo navalis*) wyobrazonego na ryc. 11. Ależ to nie mięczak, tylko robak! powiecie może czytelnicy. A jednak nie należy sądzić z powierzchowności nawet i mięczaków, gdyż łatwo można się omylić. Ciało okrętowca jest wewnątrz tak zbudowane, jak u innych mięczaków, a w dodatku ma on dwie małe skorupki na przednim końcu, a więc nie jestto bynajmniej robak. Okrętowce prześwidrowują drzewo, skały, i zrządzają olbrzymie szkody. Niszczą one drewniane kadłuby okrętów, tamy, pale i mosty tak dalece, że nie mogą wytrzymać uderzeń fal, mosty i tamy w końcu runąć muszą. Przypuszczają, że to świdraki były przyczyną strasznego zalania wodą Hollandyi w początkach XVIII wieku.

Małże czyli mięczaki dwuskorupne, o których dotychczas mówiliśmy, prowadzą, jak widzieliśmy, tryb życia mało

czynny; niewiele się ruszają; ale i między niemi bywają wyjątki. Oto *gniazdówka* (*Lima hians*) jest bardzo ruchliwa, a machając swemi skorupami jak skrzydłami, lata w wodzie podobnie, jak motyle w powietrzu. Przedstawia ona wówczas piękny widok, gdyż brzegi jej płaszczka otoczone są długą frendzlą o przepysznej pomarańczowej barwie; gdy mięczak leci, to frendzla ciągnie się za nim jak ognisty ogon, a gdy jest w spoczynku, to niteczki frendzli ruszają się za nim jak ognisty ogon, a gdy jest w spoczynku, to niteczki frendzli ruszają się jak robaczki; frendzla służy mu do dotyku, jak nasze palce. Gniazdówka ciekawa jest jeszcze i z tego względu, że buduje sobie gniazdo, w którym siedzi spokojnie. W tym celu gniazdówka wypuszcza bisior i jak cementem skleja nim dookoła siebie kamyki, muszelki; gdy budowa skończona, wówczas cieniuchnemi włóknami bisioru wyścieła swe gniazdo wewnątrz, tak, iż jest ono delikatne i miękkie jak gniazdo ptaka.

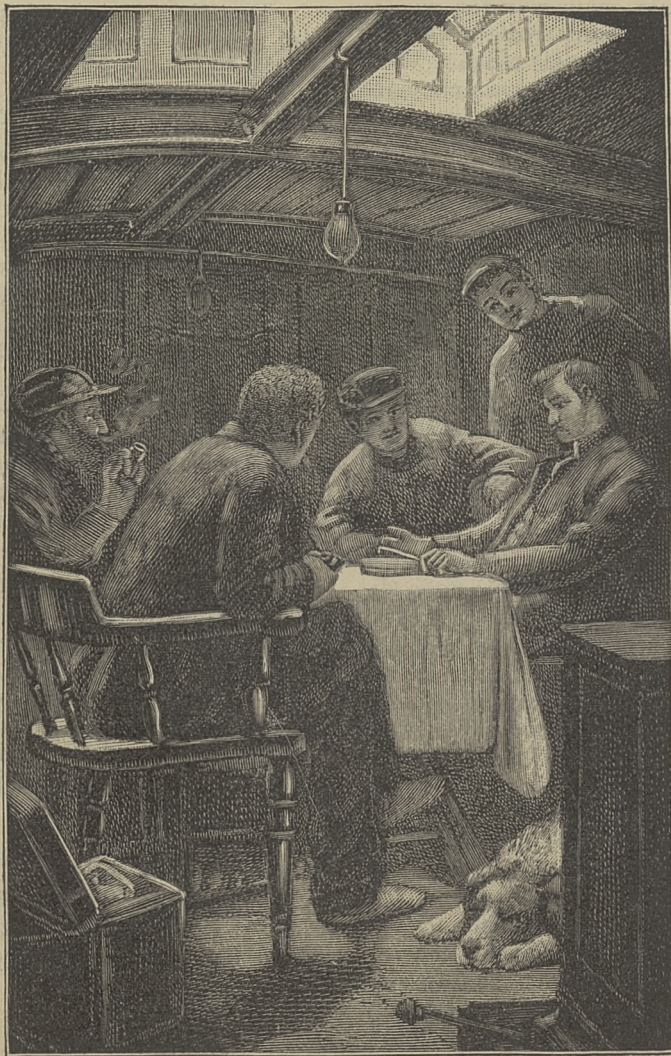
Przeźrebek (*Pecten*) fig.

12, ma również brzegi płaszczka opatrzone licznymi maczkami, oprócz tego między frendzlami znajduje się kilkanaście oczu, które mają zielony blask, jak szmaragd. Przeźrebek także

leży do mięczaków ruchliwych; wyskakuje on z wody wysoko i leci czas jakiś w powietrzu, otwierając i szybko zamykając obie skorupy.

Mnóstwo jest jeszcze innych małżów, o których dowiedzielibyśmy się wielu rzeczy ciekawych, ale musimy zapoznać się jeszcze z innymi gromadami mięczaków, poprzestaniemy więc na opisanych gatunkach. Dodamy tu tylko, że bywają małże tak olbrzymie, że skorupy ich ważą po 150 funtów, np. u gatunku zwanego *przydacznik*. Znane są ze swej wielkości skorupy tych małżów znajdujące się w kościele św. Sulpicyusza w Paryżu, używane tam jako kropielnice. Darowała je niegdyś królowi Franciszkowi rzeczpospolita wenecka.

Zdumiewającą jest także siła mięśni u mięczaków. Kto próbował otworzyć skorupę ostrygi albo omułka, ten wie dobrze, jakich olbrzymich wysiłków użyć trzeba, aby zwalczyć



Wkrótce potem wszyscy siedzieli przy stole, rozmawiając...

siłę mięśni, które przytrzymują skorupę, a nawet często otworzyć ich niepodobna. Znakomity przyrodnik Karol Darwin, opisując wielkie przydacznie, żyjące w ciepłych morzach, mówi, że człowiek niebaczny, któryby włożył rękę między rozwarte połowy ich skorupy, nie mógłby oswobodzić swej ręki, dopóki żyć będzie mięczak.

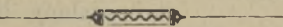
Ślimakowce.

Każdy z nas widział zapewne ślimaka lądowego, żyjącego na roślinach po ogrodach i lasach; znamy jego skręconą skorupkę, z której ukazują się niekiedy głowa z różkami. Otóż podobnych ślimaków oceany zawierają mnóstwo. Są to najliczniejsze ze wszystkich mięczaków; niektóre z nich bywają tak wielkie, że sama skorupa waży po kilkanaście funtów. Ślimakowce łatwo poznać można po tem, że ciała ich okrywa jedna tylko skorupa, najczęściej śrubowato skręcona, jak na ryc. 13. Prócz tego ślimaki mają wyraźną *głowę*, a na niej znajduje się para albo dwie pary różków i dwoje oczu, osadzonych to na końcu, to przy nasadzie różków. Widzimy tedy, że ślimakowce mają doskonalszą budowę niż małże, które nigdy głowy nie mają, a oczy znajdują się u niektórych tylko gatunków i są wówczas umieszczone na rąbku płaszczu, jak u przegrzebka.

Skóra ślimakowców jest miękka i ślizka, ciągle wilgotna, gdyż znajdują się w niej gruczołki, wciąż wydzielające śluz i inne płyny różnobarwne. Ślimaki mogą pełzać, gdyż mają na brzuchu grubą warstwę mięśni, którą, kurcząc się i wydłużając, popychają mięczaka; ową warstwę mięśni nazwano także *nogą* jak u małżów; wodnym ślimakom noga służy nie tylko do pełzania, ale i do pływania. Jedynie głowa i noga wysuwają się z otworu skorupy i napowrót do niej się chowają w razie niebezpieczeństwa; często nawet na końcu nogi znajduje się *wieczko*, które jak okiennica zamyka otwór skorupy. Reszta ciała ślimaka zawsze jest ukryta w skorupie i opuścić jej nie może, gdyż przyrosło do wierzchołka skorupy.

Ponieważ skorupa ślimaków najczęściej bywa skręconą, dlatego też i ciało ich jest śrubowato skręcone i wypełnia wszystkie skrety skorupy. Prócz tego na grzbiecie mają ślimaki kapturek ze skóry. Jestto ich *płaszcz*, który okrywa sobą skrzele i buduje wciąż nowe warstwy skorupy, w miarę tego jak ciało ślimaka rośnie i w małej muszcelce zmieścić się nie może. Słowem u ślimaków, tak jak i u małżów, płaszcz sztukuje wciąż dawną skorupę, dodając do niej nowe warstwy dokoła otworu. Widzimy, że mięczaki nie zmieniają swych skorup jak raki, gdyż mają inny sposób powiększenia swego domku. Skorupy ślimaków bywają pięknie przyozdobione różnobarwnymi deseniami, (fig. 14 i 16) najeżone kolcami (fig. 15) a także miewają piękną *masę perlową* (tak nazywa się wewnętrzna warstwa skorupy) i dlatego sprzedają je jako ozdobę we wszystkich miastach nadmorskich. Brzegi wszystkich prawie mórz zasypane są drobnymi muszcelkami ślimaków. Przypominacie sobie zapewne, że to w skorupie ślimaków morskich obiera sobie siedlisko raczek zwany *pustelnikiem*.

(d. c. n.)



Gordon Stables.

WYPRAWA DO GRENLANDYI

1

bieguna północnego.

(Dokończenie).

Wielkie przeciwności łamią tylko słabe charaktery; silne stają się jeszcze silniejszymi. Reynolds dorósł do stanowiska, który mu los przeznaczył; w mowie do załogi powiedział otwar-

cie, jak rzeczy stoja, że statek jest skazany na zagładę, że go na wiosnę trzeba opuścić i schronić się na łodzie, a jeśli łodzie zatoną, to pozostają im sanki, a w ostatecznym razie... tu się zatrzymał.

— Co w ostatecznym razie?

— Cóż, popłyniemy na górze lodowej, która nas zanie- sie aż do miejsc, uczęszczanych przez statki rybackie.

XII.

Straszna chwila.

Zima, którą podróźni spędzili w głębi fiordu, przeszła srogością poprzednie. Jednej nocy temperatura spadła do 70° niżej zera, według Farenheita i gdyby to potrwało dłużej, nie wątpię, żeby cała załoga zmarzła.

Do północy wszyscy siedzieli w salonie, którego nie mógł rozgrzać ogień, rozpalony na kominie, cisnęli się do pieca, ale i to nie pomagało. Nareszcie Collin, zbierając całą odwagę, ruszył do sypialnych kajut po wory futrzane i po kołdry, które rozłożono przed ogniem, i w ten sposób udało im się nareszcie zasnąć. Najbardziej wytrzymałym ze wszystkich okazał się Snyders, który spał spokojnie w budzie na pomoście, otoczony wszystkimi psami. Nazajutrz ociepliło się znacznie i możemy tu zaznaczyć, że w następnych miesiącach już nigdy tak zimno nie było.

Wkrótce potem rozmawiając, wszyscy siedzieli przy stole z wyjątkiem Rudlanda Syme, który doglądał chorych, bo znów dwóch majtków zapadło bardzo silnie.

— Za trzy tygodnie ujrzemy słońce.

— Kto tego dożyje! — rzekł Jones.

Reynolds, zadziwiony smutnym tonem jego głosu, spojrział na niego uważnie i dostrzegł, że Jones był blady jak płótno, oczy miał zaczerwienione i podsińnię.

— Co tobie jest, czyś ty chory? — zapytał go niespokojnie.

Jones nic nie odpowiedział, patrzył na niego szklanemi oczami, głowa chwiała mu się na prawo i na lewo, choć się starał prosto ją utrzymać.

W tej chwili wszedł Rudland.

— Dwa psy zginęły i na chorego nie mogę...

Przerwał, spojrzawszy na inżyniera.

— A to co? Jones, i tyś się rozchorował. Przebieg jest bardzo łagodny, inaczej bym ci nie mówił, ale musisz się leczyć. Ot masz, wypij to lekarstwo, a potem trzeba się położyć.

Jones wziął szklanekę, wypił, a potem postawił ją z be- myślnym, nieprzytomnym śmiechem.

— Doktorze! doktorze! — zawołał chłopiec okrętowy przeze drzwi. — Proszę prędko przyjść, znów jeden człowiek zachorował.

Kiedy doktor wrócił, jeden z jego pacjentów nie żył, drugi był bliskim śmierci. Medycyna okazała się bezsilną na tę straszną chorobę, żadne środki nie skutkowały, czarna śmierć nie tylko, że zdziesiątkowała załogę, ale zdawało się, że ją całą zabierze.

— Cóż może ją sprowadzać? — zapytał Reynolds.

— Nic, tylko wielkie chłody, które są powodem, że skóra nie jest w stanie wydzielić z organizmu niepotrzebnych materii. To spowodowuje daleko większą pracę wątroby, a zatem idzie zapalenie, złe działanie, zakażenie krwi i śmierć.

— Jednak musimy coś robić. Niepodobna przecież czekać z założonemi rękami, aż nas tu choroba wszystkich wygubi.

— Trzeba jak najwięcej ruchu, ażeby sztucznie wywołać wydzielanie się potu porami.

— To dobrze; ale co mamy robić, bo trzeba wynaleźć jakieś rozsądne zajęcie. Niepodobna przecież uderzać końcem topora o drzewo i wyobrazić sobie, że je rąbiemy.

To mówiąc patrzył na Sigurda, który spokojnie zapalił fajkę i rzekł:

— Niedługo pokaże się słońce, a z niem wiosna.

— Oczywiście.

— Więc przyjdą burze i znów będą lód łamały. Otóż ja daję następującą radę: musimy przenieść część zapasów i namioty na brzeg, bo gdy nastąpi takie łamanie się lodów, to nie będziemy mieli czasu na przeniesienie naszych rzeczy, zaledwie się może sami uratujemy. Jest to kwestya, nad którą się warto zastanowić, bo oprócz pożytku na przyszłość da nam zaraz tak potrzebne zajęcie.

Reynolds, idąc za radą Sigurda, rozkazał nie zwlekając rozdzielić zapasy na dwie nierówne części, większą przenieść na ląd, gdzie ją złożono w domku ze śniegu, mniejszą zaś zostawić na okręcie do codziennego użytku. Największy kłopot sprawiły sanie i łodzie, które trzeba było wciągać za pomocą sznurów, co tym osłabionym ludziom przychodziło z wielkim trudem. W ostatnich czasach wszyscy marynarze bez wyjątku cierpieli na dziwną ospałość i apatyę. Ażeby temu przeciwdziałać, Rudland przepisał im kofeinę, ale więcej wierzył w skutki pracy, niż lekarstwa.

W czasie pierwszej wycieczki na ląd Reynolds kazał wykopać na szczycie fiordu grób dla biednego Jonesa, którego nie chcieli pochować między bryłami lodu.

— Niech leży w ziemi, zawsze to lepiej, bo przynajmniej tu go nie ruszy.

Smutny to był pogrzeb; każdy, rzucając garść ziemi, a raczej lodu, myślał, że kto wie, może za parę dni i on tu leżeć będzie i wtedy trzeba było tę myśl co prędzej oddalić, bo taki ich żal, taka tęsknota zbierała za krajem, że ci ludzie dorosli, a nawet starzy, gotowi byli płakać jak dzieci.

Przez długi czas pokład okrętu zawałony był pakami, które dobyto z głębi, aby je przenieść na ląd. Nieustraszony wyglądał jak statek, gotujący się do dalekiej podróży.

Tymczasem słońce zapalało już świetlaną iskrą na brzegu horyzontu i przez długi czas różane i liliowe blaski okrywały szczyty gór.

Chłopcy codziennie prawie wdrapywali się na najwyższe wyniosłości, aby stamtąd widzieć dłużej tak upragnione światło.

Jednego dnia, kiedy wracali z takiej wycieczki, niebo nagle zaciągnęło się chmurami i zrobiło się ciemno, choć oko wykol. Tylko dzięki dokładnej znajomości ścieżki, trafili na okręt.

Przy obiedzie rozmowa się nie kleiła, tylko Collin i Reynolds zamienili parę słów, potem wszyscy usiedli kolo kominka i powoli ogarnęła ich niezmierna senna.

Nagle rozległ się grzmot długi, przeciągły. Podróżni zerwali się na równe nogi, zapominając o śnie i zmęczeniu. Grznowy stawały się coraz częstsze, chwilami zdawało się, że to wybuch jakiejś potężnej miny, tak były nagłe i gwałtowne.

— Czy to nie pioruny?

Na to pytanie nikt nie potrafił odpowiedzieć; wszyscy, stojąc na pomoście, usiłowali wzrokiem przesyć ciemności, ale nic dostrzedz nie mogli.

Co chwila wylatywały błyskawice z chmur, otaczających najwyższy szczyt wyspy. Potem nastąpiła chwila zupełnej ciszy, jak gdyby przyroda sama wstrzymała oddech przedtem, co miało nastąpić.

I nagle płomienie uderzyły do góry, cała wyspa zdawała się być w ogniu, wybuch następował po wybuchu, piorun po piorunie. Niepodobna było zrozumieć skąd te pioruny pochodziły, z nieba czy z ziemi, taki był zamęt, taki chaos.

Przez godzinę trwała ta zagadkowa walka, zostawiając naszym podróżnym wrażenie raczej wybuchu wulkanicznego niż burzy.

Ale skutki były opłakane, bo niedługo potem dał się czuć ruch w ławicy lodowej, który się ciągle zwiększał, już słychać było zgrzyt pojedynczych brył, pęknięcie, podobne do strzałów i szmer wody, przelewającej się przez otwory.

Chmury się rozeszły i przy blasku gwiazd i zorzy północnej, przyjaciele nasi ujrzeli, jak pałac kryształowy zatrzęsł się i zawałił.

Było to hasło opuszczenia statku.

— Na pokład! na pokład — wołał Reynolds,

— Ratujcie psy! — rozległ się głos Snydersa. I były się rzucił między opadające bryły, gdyby go dwóch majtków nie przytrzymało.

Ale nikt nie spostrzegł, jak Swolto przeskoczył burtę i biegł, o ile mu grunt zapadający się pozwalał, do kryształowego pałacu, obok którego w zagrodzie zamknięto psy.

Kiedy go Józef ujrział, jak przeskakiwał z jednej kry na drugą, tracąc co chwila równowagę, już było zapóźno, już niktby się nie odważył iść jego śladem.

Tym, co patrzyli na niego z okrętu, nie pozostało nic innego jak modlić się za jego duszę, bo o ratunku nie można było marzyć.

Już dochodził do chaty ze śniegu, już miał otworzyć drewniane drzwi, kiedy nagle podniosła się olbrzymia bryła za jego plecami i powoli miażdżyła resztki pałacu kryształowego, chatę ze śniegu, Swolta i wszystkie psy. Po chwili zapadła się z pluskiem w morze, wyrzucając do góry olbrzymi strunień wody.

Ten sam los czekał bryłę, która służyła za schronienie Nieustraszonemu. Olbrzymia kra groziła mu z tyłu, podczas gdy mnóstwo innych ocierało się ze zgrzytem o jego boki.

Reynolds, widząc, że statek jest skazany, przeszedł z przyjaciółmi na największą bryłę, i dobrze, że się pośpieszył, bo okręt ze wszech stron zagrożony chwiał się, to wznosił, to zapadał, nareszcie przechylił się na bok i cicho, prawie bez plusku wsunął się pod lód.

Noc, która potem przyszła, nie da się ludzkimi słowami opisać. Zdawało się, że śmierć chyha na ofiary. Przez kilkanaście godzin jeszcze ciągnął się ruch w ławicy i olbrzymie bryły podnosiły się i opadały, jak lupinki orzechowe.

Kra, na której się znajdowali rozbitkowie, wciąż się posuwała do brzegu, ale co chwila odpadał od niej kawał lodu, tak, że w końcu został tylko niewielki pagórek, na który się schronili.

Zaczęło szarzeć, ale wszyscy byli tak zmęczeni i zniechęceni, że nie spostrzegli, iż ruch w ławicy znacznie się zmniejszył i zgrzyt prawie ustał.

Słońce weszło, a przy jego białych promieniach Reynolds ujrział, że odległość od brzegu jest bardzo nieznaczna i że teraz jest właśnie chwila do ratowania się ucieczką, ale równocześnie spostrzegł rozciągniętego Snydersa, który zdawał się nie słyszeć nawoływań towarzyszy. Pokazało się, że zmarł podczas nocy.

Mało jest ludzi zupełnie szczęśliwych, ale każdemu chodzi o życie i broni go do ostatniej chwili.

Nasi przyjaciele nie pamiętali po powrocie do kraju, w jaki sposób dostali się na ląd po zapadających bryłach. Ale na wyspie czekała ich straszna niespodzianka: oto przesmyk, który prowadził do nowego obozowiska, zamknęła olbrzymia masa lodu.

To było odkrycie, które odebrało im resztę energii, bo siły ich były już wyczerpane ciągłą walką, to też większość rzuciła się na ziemię, zapominając o tem, że sen jest zarazem śmiercią.

Najbardziej czynni byli Olaf i Sigurd. Obaj poszli wyszukać przejścia i oni jedni nie tracili ducha, bo nawet Reynolds zwątpił i mówił przygnębiony:

— Dziś w nocy znów się zacznie ruch między lodami, i my tu zginiemy.

Olaf i Sigurd zniknęli i nie wracali przez parę godzin, lecz towarzysze nie spostrzegli nawet ich nieobecności, ale za to powrót ich był zbawieniem dla nieszczęśliwych rozbitków, gdyż nieśli trochę żywności i wódki.

Nie pytano ich nawet, w jaki sposób dostali się do obozu, tak łapczywie każdy chwycił podane mu pożywienie.

Potem prowadzeni przez Sigurda udali się do obozowiska, i nigdy pierwej wory futrzane nie wydały im się takim rajskiem posłaniem, jak wtedy, gdy skostniałi od zimna i upadający ze znużenia mogli się ogrzać i odpocząć.

Trzy straszne miesiące minęły od tego dnia. Nie będę opisywał wszystkich cierpień, przez jakie przechodzili nasi przyjaciele, bo tego nie pojmie nikt, kto nie zna zimy podbiegunowej, ale w krótkości wspomnę o przygodach, które ich spotkały.

Reynolds wiedział, że jedyny ratunek dla nich to iść wciąż na południe, gdyż tam tylko mogą natrafić na statek, który ich zawiezie do kraju, więc wypocząwszy trochę, ruszyli naprzód, ciągnąc za sobą sanie z zapasami.

Długi czas szli lądem, gdyż wyspa, na której się znajdowali, była się bardzo wielka. Po dziesięciu dniach dopiero zesłi na lód, i wtedy droga stała się niezmiernie uciążliwą, gdyż coraz to natrafiali na olbrzymie wały, na pola zdruzgotanych brył, które ciągnęły się nieraz po kilka mil i przez które trzeba było przeciągać łódź, położoną na saniach. Była to praca niezmiernie wyczerpująca, ale łódź była ostatnią ich nadzieją, gdyż doszedłszy do otwartego morza, tylko za jej pomocą mogliby szukać osad ludzkich, albo okrętu.

Ale nikt nie wie, co go czeka, i pewnej nocy w czasie pęknięcia lodów łódź utonąła, a z nią razem znaczna część żywności i wszystkie instrumenta Reynolds'a.

— Teraz za łódź będzie nam służyła oderwana góra lodowa — rzekł dzielny kapitan, udając spokój, którego nie czuł — zdarzało się to innym rozbitkom przed nami.

Niedługo przecież na ten okręt czekali, bo pewnego ranka rozległy się znane grzmoty, i cała powierzchnia lodowego pola rozpadła na kawały; na jednej z brył schronili się rozbitkowie, ratując namiot, wory futrzane i resztki żywności.

Zakończenie.

Przez wiele dni, być może przez cały tydzień, błąkali się po morzu, uderzali co chwila o inne kry, przez co ich bryła słabła i stawała się coraz mniejszą.

Nikt nie liczył czasu i każdy prosił Boga, żeby im zesłał śmierć jaknajprędzej.

Wychodzili ze swoich worów na to tylko, żeby się pożywić i znowu spali, z zimna, wyczerpania i rozpaczcy. Przeszali mówić, bo cóż mogli sobie powiedzieć ci ludzie, którzy stoją na progu wieczności, przestali myśleć o ratunku, i nawet już myśli skupić nie byli w stanie.

Razu pewnego Collin wrzucił do morza puszkę od konserw, i nagle woda się poruszyła i z głębi wyrzwał ciemny grzbiet rekina.

— Czekają na nas — szepnął zdławionym głosem Józef.

— A ja wam powiadam — rzekł Sigurd — że obecność ich dowodzi, że znajdujemy się w bliskości ławicy, na której odbywa się lub odbyło polowanie na fokii.

Słowa te, wypowiedziane z przekonaniem, zrobiły niesłychane wrażenie. Ci ludzie nawpół żywi podnosili głowy, siadali i rozglądali się dokoła, chcąc widzieć skąd im pomoc nadejdzie.

Niebawem maszynista Danaldson, który z wycieńczenia parę razy wpadał w rodzaj obłądu, otworzył szeroko oczy i zawołał:

— Słuchajcie.

Wszyscy nasłuchiwali.

— Teraz nic było, ale przed chwilą wyraźnie dołatywały mnie ich głosy. O teraz. Czy słyszcicie świegot ptaków? I w istocie z mgły doleciał ich krzyk mewy.

Lecz co to jest? dlaczego Sigurd błędnie, czy dostrzegł jakie nieszczęście? Nie, bo oto twarz mu się rozpromienia i woła, padając na kolana:

— Dzięki Bogu jesteśmy uratowani! Śnieżny ptak powrócił.

Nadpływa bryła, całkiem skrwawiona, ale właśnie ta okoliczność napelnia radością serca rozbitków. Po pierwszej spotykają drugą, trzecią, wszystkie krwią oblane.

— Hop, hop, hop! razem przyjaciele, krzyczymy z całej siły, może nas kto usłyszy.

Po chwili rozległ się wystrzał karabinowy, a w kwadrans później usłyszeli plusk wioseł, i z mgły wysunęła się łódź, na której stała ciemna postać ze sznurem w ręku.

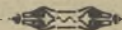
A więc uratowani! Okazało się, że zbawcami ich są duńscy marynarze, ludzie prości ale zacni i serdeczni, zresztą dla biednych rozbitków każdy człowiek wydałby się aniołem zesłanym z nieba. Kapitan, widząc ich niezmiernie wyczerpanie, kazał im zaraz przygotować łóżka i przez pierwsze dwa dni o nic nie pytał, nie pozwalał im niepokoić, aby wypoczęli i sił nabrali. Potem dopiero zaczęły się długie rozmowy, z których Reynolds dowiedział się, że kapitan Jansen spotkał u wybrzeży Islandyi yacht, który opisał w ten sposób, że Reynolds poznał w nim „Aurorę”.

— Jeżeli panu o to chodzi, to mogę się zatrzymać w porcie Reykiawick — rzekł uprzejmy kapitan i dotrzymał słowa.

Któż zdoła opisać radość naszych przyjaciół, gdy, wpływając do portu, ujrzeli wysmukłe maszty i zgrabny kadłub Aurory.

Sir William, brat lorda Daybreaka, niespokojny o losy wyprawy, od paru miesięcy już krążył po morzu lodowatym i teraz z rozpaczą dowiedział się o śmierci ukochanego brata.

Tak skończyła się wyprawa do bieguna. Wiele lat od tego czasu minęło, a wciąż jeszcze wspominają podróżnicy o przygodach, jakie ich spotkały, i trudach, jakie przebyli. W tej chwili Rudland Syme jest sławnym doktorem w Londynie, Collin Mac Ivor dowodzi „Vikingiem”, Olaf mieszka z matką i zawzięcie poluje na grubego zwierza, a Reynolds marzy o drugiej wyprawie, ale tym razem do bieguna południowego.



PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Edward Jelinek (z portretem). — Bajka, wiersz — Królewicz, powieść z XV wieku przez Z. Morawską. — Życie w oceanie przez Dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Gordona Stables, Wyprawa do Grenlandyi i bieguna północnego (z ryc.). — Dodatek: Lalka i piesek (z ryc.) — Gońcy wiosny, wiersz przez E. L. — Zażegnana kłótnia. — Bez domu. — Zamigłówki i rozwiazania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

WIECZORY RODZINNE

LALKA I PIESEK.

Marynia uradowaną była bardzo, gdyż miał przyjechać jej ojciec chrzestny, wuj Ludwik, taki dobry, ukończony wujaszek, który ją zawsze pieścił i ślicznymi obdarzał podarkami! W dniu, w którym przyjazd jego był spodziewany, Marynia krzątała się po swoim pokoiku, chcąc wszystko doprowadzić do porządku, okurzała zabawki, ustawiała mebelki, myła porcelanowy serwis, układała garderobę lalek. Biedne lalki! patrząc na nie, Marynia ciężko westchnęła, każdej z nich coś brakowało: świetna strojnisia przeszłoroczna, którą zdobyły niegdyś piękne, długie loki, miała teraz głowę łysą zupełnie, dwie ręce wyrwane i stała tylko na jednej nodze; druga, duża lalka w koszulce, wielkości małego dziecka, leżała bez głowy niezdatna do niczego. Najulubieńsza drewniana laleczka dziewczynki, która mimo spłaszczonego, przytłuczonego noska, tak ładną miała jeszcze twarzyczkę, pozbawioną była także kilku członków ciała, z nią najchętniej jednak bawiła się Marynia, dowodząc, że ta lalka rozumie wszystko co do niej mówią, i że nawet blednie z zazdrości, gdy Filuś wchodzi do pokoju.

Filuś był to ulubieniec Maryni, śliczny, pojętny piesek, cały biały z czarnymi gdzieniegdzie centkami. Dumny ze swej powierzchowności, szczycił się także stalową obrozą, którą nosił na szyi, a na której było wypisane nazwisko i adres jego właścicielki, aby każdy wiedział do kogo należy. Wyniośle też i lekceważąco spoglądał na biedne laleczki, pewnym będąc, że nikt z nim dzielić nie może wyjątkowych względów jego małej pani.

Marynia bawiła się właśnie z Filusiem na podwórzu, kiedy wujaszek zajechał. Biegając ku niemu radośnie dziewczynkę wuj podniósł w górę, ucałował serdecznie, potem poprowadził do stołowego pokoju, posadził przy sobie i pieścił się z nią cały czas, pijąc przygotowaną przez mamę Maryni herbatę. Dziewczynka przedstawiła mu Filusia, którego poczęstował sucharkiem.

— A twoje lalki jakże się mają? — zapytał — musisz ich mieć cały tuzin?

— Nie, wujaszku — odpowiedziała Marynia z westchnieniem — dwie stare dałam dzieciom stróża, u mojej dużej lalki główka się zbiła, a wszystkie inne popsute. Czy pokazać je wujowi?

Wuj skinął głową, Marynia pobiegła do pokoju, ustawiła wybrane zabawki na małej tacce i poniosła do sali jadalnej. Wuj na widok tych biednych lalek smutnie pokiwał głową.

— Obawiam się — rzekł — że tych nieszczęśliwych lalek naprawić już nie będzie można, ale może znajdziemy jaką ich zastępczynią; każ tylko przynieść małą skrzyneczkę, stojącą w przedpokoju.

Zlecenie wuja spełnione zostało, i Marynia przyglądała się ciekawie, jak rozwiązywano sznurki, odbijano

wieko ze skrzynki, odrzucano poukładane dla bezpieczeństwa papiery, aż wreszcie ukazało się śliczne maleńkie łóżeczko, a w niem najpiękniejsza, jaką można sobie tylko wyobrazić, laleczka. Otwierała i przymykała oczki, ukazywała białe ząbki i umiała za naciśnięciem sprężyny wołać: mama, tata, niania. Prócz tego było jeszcze dla niej pudełko z całą garderobą. Dziewczynka nie posiadała się z radości i całowała bez końca ręce drogiego wujaszka.



Ustawiła zabawki na tacce i poniosła je do sali jadalnej...

— Muszę się namyślić, jakie dam jej imię — mówiła. I namyślała się cały wieczór, piastując ciągle nową laleczkę i bawiąc się nią, a nietylko nie zwracając uwagi na Filusia, ale nawet odpędzając go, gdy się zbliżył. Filuś, który dotąd z nikim nie dzielił pieśczoł swojej młodej pani, patrzył na to z zawiścią i wyrazem niezadowolenia, a gdy, idąc spać, dziewczynka tuż obok swego łóżka postawiła łóżeczko z lalką, aby ciągle na nią patrzeć, zawarczał i zaszczekał gniewnie.

Kiedy na drugi dzień po przebudzeniu się Marynia chciała powiedzieć dzień dobry swej laleczce, już jej w łóżeczku nie znalazła; zniknęła bez śladu. Wszystkie poszukiwania były daremnymi. Zasmucona tak bolesną stratą, dziewczynka wyszła do ogrodu ukryć tam łzy swoje, gdy naraz spotkała starego ogrodnika, który rzekł do niej z wymówką;

— Co też to Filuś panienki dokazuje, znowu mi podkopał kilka krzaków w kwaterze róż, poskarżę się samej pani na tego szkodnika, chyba trzeba będzie go wiązać.

Marynia pobiegła do wskazanej kwatery, aby się samej o winie Filusia przekonać, a pochyliwszy się nad jamą, świeżo łapami psa wykopaną, ujrzała kawałek koronki od sukienki lalki, którą też zaraz wyciągnęła z pod ziemi.

— Szkaradny Filuś z zazdrości porwał i zagrzebał moją śliczną lalczkę; muszę to mamie powiedzieć — zawołała dziewczynka.

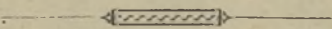
Pobiegła do sali jadalnej, gdzie zastała mamę i wuja przy śniadaniu i opowiedziała im całą przygodę.

— Ukarzemy surowo Filusia — rzekł wuj.

— Nie, mój drogi — odezwała się matka — widziałam wczorajsze zachowanie się Maryni, piesek miał słuszny żal, że o nim zapomniała, bo dla nowych znajomości nie zaniedbuje się dawnych przyjaciół.

Marynia zarumieniła się i uznała prawdę słów mamy, z odzyskaną lalką wróciła do swego pokoju, Filuś jakby ze wstydu stuliwszy uszy, schował się pod stół, ale Marynia przywołała pieska i rzekła łagodnie:

— Podaj łapkę lalce na zgodę, odtąd o was obojgu jednakowo zawsze będę pamiętała.



Gońcy wiosny.

Piosenka.

Ponad pola, sady, gaje,
Codzień słońko raniej wstaje,
A po chatach przez okienka,
Zda się wołać: Ej, wiosenka
Już przyspiesza bieg.

Wierzb i brzózek pachną pąki,
Schną powoli mokre łąki,
A gdy silniej wiatr powieje,
To się młoda trawka chwieje,
Gdzie wprzód leżał śnieg.

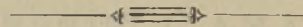
Skowroneczek na ustroni,
Słodką wróżbę ziemi dzwoni,
Że powraca wśród radości,
Ku nam mnóstwo miłych gości
Z swych odległych dróg.

Leci, leci klucz żorawi,
Za nim bocian tuż się stawi,
I jaskółka chyżym lotem
Spieszy cieszyć swym powrotem
Chat gościnnych próg.

Gońcy wiosny! goście mili!
Witajcież nam w dobrej chwili,
Kiedy pora ta szczęśliwa
Do prac nowych razem wzywa
Wszelki żywy twór.

Trud i radość z nami dzielcie,
Z bogactw ziemi się weselcie,
I połączcie z nami głosy,
By nieść Stwórcy pod niebiosy,
Wspólnych dzięków chór.

E. L.



ZAZEGNANA KLÓTNIA.

BAJKA.

(Dokończenie).

— Jaka bawełna, czy ta, z której robię szydełkiem serwetkę?

— Ta sama, naturalnie. W krajach ciepłych rosną krzaki, które mają owoce, podobne do zamkniętych torebek; gdy owoce dojrzeją, torebki pękają, a wylatują z nich jajowatego kształtu nasionka, pokryte miękkim, delikatnym puchem. Widziałaś nieraz watę, tę miękką, ciepłą watę, używaną do zimowych szubek. Otóż wata jest prawie taką samą, jaką zbierają z pękających torebek bawełny.

Bawełny nie można prząść ani na wrzecionie, ani na kołowrotku, przędą ją tylko w fabryce na maszynach. Wyciągają niteczki bardzo cienkie, z których potem na tkackich warsztatach wyrabiają perkal, żagnot a nawet cienkie muśliny, z których masz letnie sukienki. Oprócz tkanin z przędzy tej robią jeszcze, skręcając parę nitki w jedną, bawełnę do robót szydełkowych, do haftu, nici do szycia, bawełnę na pończochy, które można robić w ręku na drutach, lecz najczęściej dzisiaj do tej roboty używają maszyn.

A teraz, ponieważ słuchałaś tak uważnie, opowiem ci o pewnym dobrym chłopcu murzyńskim.

— A czy to bawełna rośnie w kraju Murzynów?

— Nie, dużo jej uprawiają w Azji, ale największe plantacje czyli obszary zasiewają w Ameryce. Ponieważ jest tam bardzo gorąco, a pracę na upale nie każdy znieść może, używano więc do niedawna jeszcze niewolników Murzynów. Byli to bardzo biedni ludzie, już to dlatego, że zostali oderwani od rodziny i własnej ziemi, bo wiesz już, że Murzyni są mieszkańcami Afryki, jako i dla tego, że właściciele plantacji dopóki istniało niewolnictwo, źle się z nimi obchodzili.

U pewnego bogatego plantatora, człowieka wielce nielitościwego, zbierano bawełnę. Upał był tak wielki, że biedni Murzyni upadali prawie ze znużenia. Nie mogli jednak przerwać pracy, gdyż wieczorem bito tego, który nie napełnił worka. Pomiędzy robotnikami znajdowała się stara i chora Murzynka. Biedaczkę bito codziennie, gdyż, będąc słabą, nie mogła nigdy nazbierać tyle, ile wymagano.

Pewnego dnia młody chłopak, pracujący w jej sąsiedztwie, ulitował się nad nieszczęśliwą. Słońce było już wysoko, a biedna Murzynka miała zaledwo kilka garści bawełny. Chłopak pomyślał, że dziś znów ją obiją.

Nie namyślając się długo, zamienił swój do połowy napełniony worek na worek prawie pusty Murzynki.

Zaczął gorliwie pracować, lecz pomimo całej usilności nie zdołał przed zachodem słońca zebrać dostatecznej ilości. Wieczorem właściciel plantacji nazwał go nikczemnym próżniakiem i za karę kazał go obić.

Chłopiec zniósł spokojnie tę niesprawiedliwość, gdyż myślał: jestem zdrow i silny, lepiej przecież, że mnie wybiją, niż tę biedną chorą. Nazajutrz i dni następnych powtórzyło się to samo, ale nareszcie wszystko się wydało, a gdy nielitościwy pan dowiedział się o poświęceniu chłopca, zawstydził się swego okrucieństwa, pozwolił starej Murzynce zostać w domu aż do chwili, gdy będzie zupełnie zdrową, a potem już się nie obchodził z nią w sposób tak nieludzki.

— Ależ, mamusiu, nigdy nie myślałam, aby tacy brzydcy ludzie mogli być tak dobrzy, jak ten chłopak.

— Często, moje dziecko, szlachetna dusza mieszka w brzydkim ciele.

A. Rzeszotarska.

BEZ DOMU.

(Dalszy ciąg.)

IV.

Na drugi dzień Kazia obudziła się dość wcześnie i mogła z całą rodziną zasiąść do śniadania. Gdy zaczęła opowiadać c strachu z okrągłymi oczyma, jaki wczoraj wieczorem ukazał się w jej okienku, wszyscy śmiechem wybuchli, a Franek szydził z niej zaczął:

— Jakie to niemądre te Warszawianki! — mówił — biednego ptaka biorą za potworne straszdyło! To była zwyczajna sowa, mamy ich pełno w sąsiednim lesie. Ta, której tak się zlekkaś, miała zwyczaj zapewne wlatywać przez otwarte okno do strychu, kiedy był pusty, a pamiętając jak jej smakowały łowione tam myszki, chciała może wczoraj to samo uczynić, i sędzę, że twoim widokiem niemniej przestraszyć się musiała, jak ty jej zjawieniem.

Odtąd biedna Kazia stała się przedmiotem złośliwych żartów i docinków nielitościwego Franka. Przypominał jej ciągle ową sowę w oknie, jak ją prześladował poprzednio czerwoną krową z rogami, to też nie lubiła dziewczynka starszego kuzyna, a całym sercem przylgnęła do dobrego i uprzejmego Jasia, który na nieszczęście dla niej całe dnie był nieobecny, bo dopiero nad wieczorem powracał ze szkoły. Wielka też była różnica w charakterze i usposobieniu dwóch chłopców; starszy przykry, dokuczliwy, niezgodny, nie miał nigdy życzliwego słowa nawet dla rodzzonego brata, który unikał o ile mógł jego towarzystwa, największą przyjemność znajdując w czytaniu książek wypożyczanych mu przez panią Korecką.

Gdy wychodzili z Kazią na przechadzkę w pole, zawsze opowiadał jej zajmujące szczegóły o nieznanym jej zwierzętach, ptakach lub roślinach. Uczył ją rozróżniać gatunki zbóż, zasiewanych z wiosną, przytem był

dla niej łagodny, wyrozumiały, cierpliwy i nie szydził z niej nigdy.

Ponieważ po południu w sobotę nie bywało lekcji w szkole, Jaś przyrzekł Kazi, że ją zaprowadzi na dalszą wycieczkę do lasu i pokaże, gdzie rosną pierwiosnki. W dnie powszednie w ciągu tygodnia stryjenka naznaczała Kazi zawsze jaką robotę w domu, nie łajała jej przytem tak surowo, jak łajała często psotnego i leniwego Franka, ale też nie dawała jej nigdy słowa zachęty ani pochwały, a takie życzliwe słowo byłoby uprzyjemniło i ułatwiło każde zajęcie biednej sierocie.

Gdy nadeszła upragniona sobota, Kazia załatwiwszy się z zajęciami swemi, z kapelusikiem już na głowie oczekiwała niecierpliwie Jasia, którego matka wysłała właśnie z podwieczorkiem dla ojca w pole, chłopiec, odchodząc, prosił Franka, aby uprzedził o tem siostrzyczkę i powiedział, żeby na niego czekała, obiecywał, iż niebawem powróci. Franek przecież znajdował zawsze największą przyjemność w wyrządzaniu drugim przykrości, zwłaszcza małej dziewczynce lubił płać złośliwe figle, umyślił więc i teraz skorzystać ze sposobności, żeby jej dokuczyć. Do lasu prowadziły dwie drogi, jedna krótsza przez pola, ta właśnie, którą iść mieli Jaś i Kazia; druga gubiła się w gęstych zaroślach i krętych parowach, gdzie łatwo było zabłądzić. Na tę właśnie zdradną drożynę wskazał Franek, mówiąc do dziewczynki:

— Idź tędy, spotkasz Jasia u wejścia w głąb lasu, bo tam na ciebie czekać będzie.

Kazia, nie domyślając się podstępu, podziękowała za udzielone wskazówki i pobiegła uradowana. Znalazła się niebawem w ciemnym gąszczu leśnym; z początku szła śmiało, oglądając się tylko chwilami dokoła, czy nie dojrzy gdzie czekającego na nią chłopca, ale gdy ślad ścieżki zgubiła, a wszędzie widziała tylko dzikie zarośla i kręte parowy, strach przejmować ją zaczął. Nigdy w życiu nie była jeszcze sama jedna w tak odległej miejscowości. Zaczęła wołać Jasia, głos jej tylko dalekim echem odbijał się po lesie. Nie wiedziała w którą zwrócić się stronę; wyteżyła wzrok, zdawało jej się, że dostrzega jakiś czarny punkcik, poruszający się w znacznej odległości. Co to być mogło? może jaki zwierz drapieżny, lub okrutny rozbójnik, czyhający na jej życie. Rączkę przycisnęła do silnie bijącego serduszka i skryła się za gruby pień drzewa. Po chwili rozróżnić już mogła, że zbliżała się ku niej stara kobieta z ciemną, pomarszczoną twarzą, z czerwoną na głowie chustką, z pod której wysuwały się kosmyki kędzierzawych włosów. Na plecach miała zarzuconą szarą płachtę i sękaty gruby kij w ręku. Widok jej jeszcze więcej przeraził dziewczynkę. To niewątpliwie cyganka, która chce ją porwać i uprowadzić do obozu. Kazia wstrzymała oddech w piersiach w nadziei, że może ukryć się przed jej wzrokiem. Ale mniemana cyganka, doszedłszy do miejsca, gdzie stała dziewczynka, zatrzymała się, wlepiła w nią wzrok zdumiony, a potem, chwytając ją za ramię, zawołała ochryplym głosem:

— Kaziunia, moja Kaziunia!

(d. c. n.)

S Z A R A D A

Pierwsze z trzecim zwierzęta niekiedy konieczne, Nie od wszystkich lubione, chociaż przyteczne.
Drugie z trzecim kres jakiś zwykle oznaczają, A znane są i takim, co w piłkę grywają.
Wszystkie krążą gdzieś w dali, w nieznanym wszechświecie, Niejedną z nich widzimy ledwie co stulecie.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożyła Płacząca Brzoza.

Sylaby: ~~K~~ec~~z~~ — ny — ru — ry — biasz — ni — in — das — zys — ba — wicz — lot — war — kie — el — nes — wicz — to — le — a — o — na — me — des — wer — te — eu — sze — pi — ne — sien. —
 Znaczenie wyrazów: 1) Ozdoba dziewcząt. 2) Miasto w Grecyi. 3) Dopływ Garonny. 4) Wódz spartański. 5) Starożytny poeta grecki. 6) Grecka bogini sprawiedliwości. 7) Współczesny powieściopisarz. 8) Mąż biblijny. 9) Rzeka w Niemczech. 10) Miasto w górnej Szkocyi. 11) Poeta polski zeszłego stulecia. Pierwsze litery tych wyrazów złożyć powinny nazwisko słynnego wodza z wojny 30-to letniej.

KWADRAT MAGICZNY.

Sokole oko.

a	a	a	a	Przestrzeń wyłożona kamieniami.
a	b	d	d	Wyrazy życzliwe doświadczonego.
r	r	r	r	Porażenie słoneczne.
k	k	u	u	Złe, spadające na winnego.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 12-go

Zagadki: O k o.

Logogryfu:

1) BaobaB. 2) AgamI. 3) BonapartE. 4) IzaR. 5) AtamaN. 6) GolkondA. 7) OpaT. 8) RuszczuK. 9) AeronautA.
 Babia Góra — Biernatka.

Łamigłównki w trójkącie:

A	b	i	s	y	n	i	a
B	e	l	g	r	a	d	
I	r	t	y	s	z		
S	o	f	i	a			
Y	a	r	d				
N	e	r					
I	m						
A							

Skrzynka do listów.

Zadanie konikowe *Warszawiaka* jeżeli tylko odpowie warunkom, drukowane będzie. Pseudonym dobry jest i stosowny, a im częściej używać go będziesz pisując do nas (o co bardzo pro-

simo) tem łatwiej przywykniesz do niego. Z powodu nieświeżej marki musieliśmy zapłacić karę za przesyłkę listu, prosimy więc na raz przysły o zwrócenie na to uwagi. Jaskółka za pamięć dziękuje.

Nietylko pozwalamy, ale z otwartem sercem przyjmujemy cię *Zeniu K.* do grona naszych miłych korespondentek. Jaskółce już obiecaliśmy, że list od ciebie otrzyma. Tylko dla czego piszesz do nas ze strachem. uczucie to wymażmy zupełnie—bo nie może ono istnieć pomiędzy osobami życzliwemi sobie wzajemnie. Wieczory już wysłano.

Zmartwiła nas bardzo wiadomość o powtórnej chorobie twej mamy, droga *Wróżbiarko*, całym sercem dzielimy twoją boleść i ufamy Bogu, że pocieszysz cię wkrótce. Wieczory wysyłane będą regularnie, a interesa redakcyjne załatwiemy po wyzdrowieniu mamy.

Wierszyk *Judzi G.* ze Stanisławowa serdeczny jest i miły dla serca matki, ale nie posiada dostatecznych warunków literackich aby mógł być drukowany. Z rozwiązywaniem zadań spieszyć się nie potrzeba, bo tylko konkursowe przyjmowane bywają do oznaczonego czasu, zwykle zaś nie stanowią różnicy czy wcześniej przyjdą czy później, byle przed ogłoszeniem rozwiązania.

Ładnie napisany liścik *Zofii P.* i dobre rozwiązania zadań Redakcyja otrzymała, ale dlaczego to potrzeba aż było namowy tatusia, byś się zdecydowała odezwać do nas? Czytając przez dwa lata *Wieczory*, mogłaś się przekonać, że wasze listy są zawsze mile witane. Z następnym nie zwlecaj długo, pisuj tak często jak sama zechcesz i czas ci na to pozwoli.

Brakujące dodatki dla *Bohdana Z.* i *Nini* z Ożen, wysłaliśmy. Tej ostatniej donosimy, że Rognieda S. znajduje się na liście naszych prenumeratorów, ale dla braku miejsca, jak to już nie raz mówiliśmy, nie możemy pomieszczać korespondencyi pomiędzy czytelnikami.

Dobre rozwiązania szarad i łamigłówek nadesłali: *Warszawiak*, *Jadzia G.*, *Zygmunt O.*, *Józio F.*, *Ryszard Lwie serce*, *Murzyn* z nad Kongo i *Trzy raczki* z Siedlisk.

Na wpis dla biednego ucznia złożyły *Julcia* i *Stefcia G.* rs. 1.

Pseudonym wasz, *Trzy raczki* z Siedlisk bardzo nam się podobał. Cieszę się niewymownie z obietnicy częstych liścików, bo prawdziwa to przyjemność odbierać tak ładnie i mile napisane, jak ten, który obecnie leży przedemną. Podzielim w zupełności wasze upodobania do grania teatru amatorskiego, jest to wielką przyjemnością i miłą rozrywką. Rada też jestem, że wam się tak podobają komedyjki i powieści zamieszczone w *Wieczorach*.

Myslałam, żeś już zapomniała o mnie 8 letnia *Malinko*, to też twój liścik powitałam z wielką radością i pospieszam z szybką odpowiedzią. Komedyjki, o jaką prosisz, Redakcyja nie ma obecnie ale poszukam, czy w dawnych rocznikach nie znajdę odpowiedniej w takim razie przysyłę ci ją zaraz. Poprosz swojej ciotki *Maryni* żeby taką komedyjkę napisała, a my ją wydrukujemy w *Wieczorach*. Czytałaś zapewne wezwanie Redakcyi, by czytelnicy do lat 10 nadsyłali próby kaligrafii, na swój wiek piszesz tak dobrze, że śmiało nagrody spodziewać się możesz.

List *Murzyna* z nad Kongo nietylko mnie nie zdziwił, ale przeciwnie zajął bardzo i mam nadzieję, że teraz, już przyszedł do zdrowia częściej pisywać będziesz. My ci przyjmujemy z wdzięcznością tak krajowe jak zagraniczne. Brakujące dodatki będą dołączone do przyszłego numeru.

Łamigłówkę *Gałązki* bzu złożyłam w Redakcyi, zaległą nagrodę prosiłam aby wysłano natychmiast, mam nadzieję, żeś ją już otrzymała.

Logogryf arytmetyczny *Lucia K.* złożyłam w Redakcyi, czy będzie odpowiedni do druku, sama sądzić nie mogę.

I znowu przybyła mi nowa i miła korespondentka w osobie *Ani Ż.* Witam cię serdecznie; o dłuższe i częste liściki proszę bardzo. Dodatki brakujące Redakcyja już wysłała. Polecając się twój pamięci, pozostaję życzliwą zawsze wam wszystkim:

Jaskółka.